



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.



Ilekoć pan Adam, znajomy nam profesor, usłyszał kroki na wschodach lub skrzypnięcie drzwi, zawsze mu się zdawało, że to Waclaw i siostra jego Helenka śpieszą do starego przyjaciela. Lecz wnet przypominał sobie, że oboje wyjechali z rodzicami na kilka tygodni do chorąg babki i dotychczas nie powrócili. Wzdychał więc z cicha

potczuiwy p. Adam, bo tak się do odwiedzin tych miłych gości przyzwyczał, że mu było bardzo tęskno w terażniejszym osamotnieniu. Lubił on spokój, lubił książki i pracę naukową, ale potrzebował kiedyniekiedy rozrywki, a towarzystwo roztropnej młodzieży największą mu sprawiało przyjemność. Do Waclawa i Helenki przywiązał się tak szczerze i serdecznie, że z upragnieniem wyglądał ich powrotu.

Doczekał się tego wreszcie, pswnego rana służąca, która mu codziennie posługiwała, przyniosła pożądaną wiadomość, że państwo z pierwszego piętra, co to z paniczem i panią wyjeżdżali na wieś na dwa miesiące, wczoraj przed

północą ostatnim pociągiem przyjechali. P. Adam aż ręce zatarł z radości, bo nie wątpił, że Waclaw i Helenka stęsknili się także za nim, że jak tylko znajdą chwilkę swobodnego czasu, dziś jeszcze do niego przybiegną. I nie mylił się staruszek, jak tylko się ściemniło, zaledwie zdążył lampę zapalić, już znane dobrze kroki obojga rodzeństwa odezwały się na wschodach i śpieszne stukanie, w którym przebijała niecierpliwość, u drzwi jego słyszeć się dało. On niemniej niecierpliwie pośpieszył, je otworzyć i nastąpiły najserdeczniejsze powitania.

— O, panie Adamie kochany! — wołała Helenka, gdy już minęły pierwsze uniesienia radości przy tem spotkaniu, dla obu stron równie miłym i pożądanym — jak też ja nieraz żałowałam, że pan tak daleko i nie mogłam w różnych kłopotach i niepewnościach udać się do pana po objaśnienie. To tak okropnie, kiedy kto ma słuszość i jest o tem przekonany, a tu wmawiają w niego, że plecie ni w pięć ni w dziewięć, i za dziecko go uważają. Tutaj mam zawsze obronę, ile razy Waclaw żartuje z tego, co ja powiem, zaraz mu usta zamykam słowami: Zapytamy pana Adama.

— A pan Adam w samej rzeczy zawsze twoją stronę trzyma — odrzekł Waclaw, przekomarzając się siostrze, jak zwykle — choćbyś i nie miała słuszości...

— O, Waclawie! — przerwała Helenka, a p. Adam tylko palcem na nosie pogroził, ale Waclaw natychmiast dodał, śmiejąc się:

— Czyż pan nie wie, że ja żartuję, bo jakże z niej nie żartować, kiedy ona najmniejszą rzecz tak zaraz bierze do serca. No, tam na wsi nie ja przecież z nią się sprzeczałem,

tylko druga młoda panienka, córka sąsiadów babuni. Ja się nie mieszałem do niczego, bo z obcemi pannami nie lubię wojny toczyć...

— Nawet w obronie siostry! — z wyrzutem wtrąciła Helenka.

— Nawet, moja droga; o, wiem, co to znaczy popaść na język paniński, z siostrą sobie człowiek czasem rady dać nie może, a cóż dopiero z obcą gąską... ach! przepraszam, tak mi się jakoś wyrwało niechęć. A sama zapewne przyznasz, że ta Wańdzia, to zarozumiała i niezbyt mądre stworzenie. Rozprawia śmiało o rzeczach, których nie rozumie, a innym wierzyć nie chce. Śmiech mnie brał, gdy Helenka próbowała jęć usta zamykać swoim zwyczajem: pan Adam mi mówił, słyszałam od pana Adama. Ona na to główką kręciła i uśmiechała się zabawnie, widocznie niewiele sobie z tego robiła, ufna w swój własny rozumek.

— I o cóż to Helenka sprzeczała się z tą zarozumiałą panienką? — pytał z uśmiechem p. Adam.

— O, śpierały się o rozmaite rzeczy, ale najzabawniejsza była kłótnia, gdy zaczęły rozprawiać o lodzie — rzekł Waclaw.

— Co znowu! — zawołał, śmiejąc się już na dobre sędziwy profesor — zkądże im przyszedł lód do głowy? Czy już staw na wsi był zamrznięty?

— Cóż pan na to powie — mówiła Helenka z ożywieniem — ta niemądra Wanda w żaden sposób zrozumieć nie chciała, że można latem nawet sztuczny lód zrobić. Śmiała się ze mnie, jak szalona i powtarzała: Jakież też dziecko z ciebie, żeby w takie bajki wierzyć. A potem zaczęła opowiadać, jak to w cukierniach na dno do szklanek z wodą kładą gładkie kawałki szkła, a łatowierni to za lód biorą.

— Przyznaj się jednak, Helenko — odezwał się Waclaw, spoglądając figlarnie na siostrę — że nie udało ci się jakoś wyjaśnić dokładnie pannie Wandzie, jakimi to sposobami wodę zamrozić można latem. Odsyłałaś ją tylko do dawniejszych roczników „Wieczorów Rodziny”, a ona niedawno to Pismo prenumerować zaczęła. Ty znów nie miałaś z sobą owych roczników i sprzeczka pozostała nierozstrzygnięta.

— Co tam zresztą mam szukać w starych rocznikach — rzekła Helenka — skoro p. Adam z pewnością mi to opowie na nowo, jak poproszę, a jeżeli tę naszą rozmowę wydrukują w „Wieczorach”, to wszyscy świeżo przybyli prenumeratorzy będą radzi, a dawni przecież się nie pogniewają, że im przypomnimy wiadomości tak pożyteczne, które niejednemu wywietrzyły z głowy.

— I ja tak sądzę — odrzekł p. Adam — tem bardziej, że w porze zimowej najstosowniej będzie pomówić o lodzie i o zimnie, które lód wytwarza. A najpierw muszę zapytać, czy też Helenka potrafi określić jasno i dokładnie, co to jest właściwie zimno?

— Zimno, co to jest zimno? Jabym tego nie wiedziała?

— No więc cóż to takiego?

— Ależ bo... ja doskonale wiem i rozumiem, tylko... nie wiem, jak to powiedzieć.

— A to się złapała! cha cha cha! — wołał Waclaw, śmiejąc się i klaszcząc w ręce.

— Więc może Waclaw nam rzecz objaśni — mówił p. Adam z uśmiechem.

— O, wielkiej rzeczy — odrzekł Waclaw — zimno jest

wtedy, kiedy dreszcze przechodzą nam po ciele i ręce trzeba rozcierać, bo marzną i kostnieją; wielkie rzeczy!

— No, takie wyjaśnienie, to w rzeczy samej nie wielkie rzeczy — rzekł p. Adam — tylko że się tym sposobem nie a nic nie wyjaśnia. Rzadko jednak komu przyjdzie na myśl, że zimno, to nie żadne zjawisko odrębne, lecz po prostu... brak ciepła. Jeżeli ciału jakiemu odejmiemy posiadane przez nie ciepło, to je tym sposobem oziębimy.

— Ach, prawda! — wykrzyknęła Helenka — że też mnie to do głowy nie przyszło!

— Uczył się człowiek tego coprawda w fizyce — dodał Waclaw — ale jak przyjdzie tak z nienacka prostą rzecz nawet powiedzieć, nie zawsze się zapamięta co potrzeba.

— Otóż to właśnie — potwierdziła Helenka — i ja przecież fizyki się uczę, ale mi się zawsze najlepiej w głowie wbi je to, co p. Adam opowie.

— Bardzo się cieszę i gotów jestem raz jeszcze wyłożyć wam w krótkości naukę o ciepłe, a tem samem i o zimnie, braku ciepła. Ciepło, jak powiada nauka dzisiejsza, jest to rodzaj ruchu nadzwyczaj szybkiego, niewidzialnego dla nas z powodu téj chyżości; ruch ten wprawia w drganie najdrobniejsze cząsteczki ciała, a te w skutek tego są mniej lub więcej ciepłe, czyli ogrzane. Nie możemy sobie nawet wyobrazić tu na ziemi ciała zupełnie pozbawionego ciepła; byłoby to jakieś straszliwe zimno, uczeni ludzie za pomocą różnych doświadczeń i wniosków obliczają takie ostateczne zimno na paręset stopni. Jeżeli kilka stopni na termometrze oznacza już mróz dotkliwy, a kilkanaście bardzo silny, to cóż to musi być za chłód przy dwustu przeszło stopniach! Może gdzieś za ziemią naszą, w przestworzach niebieskich, coś podobnego istnieje; u nas dzięki Bogu w pobliżu biegunów nawet termometr dochodzi zaledwo do 57 stopni poniżej zera. Taka jest przynajmniej najniższa temperatura, zaznaczona przez podróżników, usiłujących dotrzeć do bieguna. Rtęć wskazać tego nie może, bo krzepnie na wielkim mrozie, więc urządzają termometry z wysokoku.

— To straszna rzecz! — wtrąciła Helenka — i pomyśleć, że te bryły lodu pod biegunami, zamrznięte na 57 stopni, jeszcze nie są zupełnie pozbawione ciepła.

— Zapewne, jeżeli mogłyby być daleko więcej oziębione; a wiadomo, że oziębic, to znaczy odjąć ciepło. Otóż cała sztuka robienia lodu wśród lata, ta sztuka, której wierzyć nie chciała owa zarozumiała panna Wanda, zależy na odejmowaniu ciepła. Woda w stanie cieczy jest zawsze mniej więcej ogrzana, wyciągnijmy z niej tylko pewną część ciepła, a wnet na lód zamarznie.

— Ach, ach! coś już sobie przypominam — mówiła z żywością Helenka — kiedyś p. Adam nalał mi na dłoń jakiegoś eteru; wyszła coprawda w jednej chwili, gdzieś ta ciecz się podziała, ani się opatrzyłam, ale mi dłoń tak uziębła, jakgdyby kawałek lodu na niej leżał.

— Eter i inne ciecze podobne — mówił p. Adam — mają tę własność, że się bardzo szybko ulatniają, czyli parują, zamieniając się z cieczy w gaz. Wodę ogrzewać trzeba na ogniu, ażeby z niej parę wytworzyć w znaczniejszej ilości, a owe ciecze w zwyczajnej temperaturze i nawet na zimnie zaczynają się burzyć, zupełnie jakgdyby wrzały i całkowicie w parę się przeistaczają. Ale otóż trzeba wiedzieć, że ilekroć ciało jakie ze stanu stałego przechodzi w ciekły, albo z ciekłego w gazowy, cząsteczki tego ciała pochłaniają przy-

tem chciwie i gwałtownie ciepło ze wszystkich przedmiotów, z którymi się stykają i z powietrza otaczającego. Eter, nalany na dłoń Helenki, z jej ciała wyciągnął ile tylko mógł ciepła, a ztąd powstało uczucie zimna. Jeżeli kawałek lodu włożymy w wodę miernie ciepłą, lód się rozpuści, ale woda wszystka stanie się tak zimna, jak lód. Gdy wodę gotujemy w garnku, wiemy, że nie pęknie, czemuż próżnego nie można postawić na ogniu?

— Ach! było kiedyś w „Wieczorach” doświadczenie fizyczne, sposób zagotowania wody w pudełeczku z papieru, najprostszego papieru — odezwał się Wacław — wykonałem je z pomocą wujaszka i doskonale nam się udało, papier się nie spalił, woda połykała tyle ciepła, że nie dopuściła do tego.

— Wyobraźciez sobie ciecz oziębiającą, a urządzają dziś rozmaite cieczce tego rodzaju. Gdybyśmy np. szklankę wody ustawili w większem naczyniu, napełnionem eterem, wkrótce eteruby zabrakło, a woda zamarzałaby w szklance, i to latem, w ciepłym pokoju. Zagranicą ta sztuka jest już bardzo często do rozmaitych praktycznych celów stosowana, są tam fabryki lodu, dostarczające ludziom tego produktu przez rok cały. Czytałem nawet w dziennikach, że w pewnem mieście amerykańskiem mieszkańcy na żądanie otrzymują z podobnej fabryki zimno, które im przysyłają rurami ze zbiornika głównego. Ktoś np. latem podczas upału kupuje mięso i obawia się, by się w ciepłej szpiźarni nie popsulo; zaraz pisze lub telefonuje do wiadomego składu, aby mu przysłano jaknajśpieszniej trochę zimna przez rurę, wchodzącą do szpiźarni. I wnet z tej rury bucha powietrze zimne, mroźne, oziębia mięso i chroni od zepsucia.

— Jakież to zabawne! — zawołała Helenka — szkoda, że u nas w Warszawie niema jeszcze, ani sztucznego lodu, ani składu zimna.

— Nasze północne okolice mogą się śmiało obejść bez tój dogodności — mówił p. Adam — my mamy w zimie dosyć naturalnego lodu, łatwo zrobić zapas na lato i bez sztucznego się obejść, lecz w krajach cieplejszych, południowych, gdzie musiano przedtem lód sprowadzać z kosztem i trudnościami z północy, wielkie to stanowi ułatwienie. Wyobraźcie sobie, że tym sposobem od lat kilku przywożą do Anglii mięso, zwłaszcza baraninę, aż z Australii. Okręt ma komorę urządzoną do tego naumyślnie, gdzie przepływa nieustannie przez rury metalowe ciecz oziębiająca; wyswobodzona z ciasnej przestrzeni, ciecz ta gwałtownie się rozpręża, ulatnia i przytem pochłania tyle ciepła z otaczającego powietrza, że w komorze utrzymuje się mróz nieustający. Jak wiadomo, mięso zamrożone zepsuć się nie może, wszak na targi nasze często z dalekich okolic, z Petersburga i Astrachania, przywożą podczas zimy zamrożone sposobem naturalnym, na mrozie, ryby, jarzabki i inne produkta żywności. Wszystko to dochodzi w jaknajlepszym stanie, byle tylko nie było odwilży podczas podróży, bo w takim razie ryby i zwierzyny się psują, a kupiec na stratę jest narażony. Otóż Anglicy za pomocą takiegoż samego sposobu zamrażania, ale sztucznego, mają na targach swoich baraninę australską, a podobno i różne mięsiva amerykańskie.

— Już teraz Wanda nie żartowałaby ze mnie — rzekła Helenka — bo potrafiłabym jęj pysznie całą rzecz wyłożyć. To takie łatwe i proste: wyciągnąć ciepło i brr! zimno zaraz się robi, mróz i wszystko zastyga.

— To łatwo powiedzieć — wtrącił Wacław — wyciągnijże to ciepło, spróbuj!

— Czemużbym nie wyciągnęła? Żebym tylko miała taki eter.

— W rzeczy samęj — mówił stary profesor — cała ta sprawa jest bardzo łatwa, idzie tylko o to, by płyn oziębiający niezbyt drogo kosztował i nad tem szczególnie łamią sobie głowy przemysłowcy. Pewien inżynier użył znów w innym wypadku sztucznego oziębienia. Potrzebował w jakiejś kopalni wywiercić studnię głęboką, aż tu właśnie w środku roboty natrafiają na grunt wilgotny, bagnisty, ziemia przemokła osuwa się pod narzędziami górników, a dalsze wiercenie staje się w takich warunkach niemożliwe. Cóż robi pomysłowy nasz inżynier? Zapuszcza w grunt bagnisty kilka rur metalowych, przelewa przez nie ciecz oziębiającą i wnet ziemia dokoła zamarza, twardnieje, świder górniczy może ją wiercić, jakby kruchą skałą. Robota tym sposobem bez żadnych trudności ukończoną została, a do wcipty ten sposób już nieraz w podobnych wypadkach z dobrym skutkiem był probowany. W Stokholmie kopano tunel pod miastem dla przeprowadzenia kolei; w wielu miastach zagranicznych są urządzone takie podziemne drogi dla ułatwienia komunikacji bez zajmowania na to ulic. Otóż okazało się także, że grunt, stykający się z fundamentami domów, był przesiąknięty wodą. Kopanie było w tym razie, nie tylko niewygodne, ale nawet niebezpieczne, bo mogły się fundamenta budynków obruszyć, gdyby ziemia zbyt mocno się obsuwać zaczęła. Tu także wprowadzono rury oziębiające a w miarę, jak grunt zamarzał, kopano otwór dostateczny na tunel, zabezpieczając sklepienie i ściany mularską robotą.

— To pyszna rzecz! — zawołała Helenka — ale najwięcej mi się podoba ta fabryka w Ameryce, co to na żądanie przesyła każdemu do domu trochę zimna. Bardzobym chciała, żeby u nas taką fabrykę urządzili.

— Dajże pokój! — przerwał Wacław — czy mało masz teraz zimna na dworze? Jak zechcesz, to ja przez lufcik wpuszczę dostateczną ilość i bez fabryki.

— No tak, teraz, a latem!... Żebyż to ludzie wymyślili jaki bardzo niedrogi płyn oziębiający, możeby się i sztuczne wyrabianie zimna więcej rozpowszechniło.

— Przepowiadają uczeni — rzekł p. Adam — że w przyszłości najdoskonalszym płynem oziębiającym będzie powietrze skroplone i zamrożone. Wszak wiecie o tem, że parę lat temu uczeni ludzie wynaleźli sposób przeprowadzania gazów powietrznych ze stanu lotnego w ciekły, a z ciekłego w stały. Pomiędzy tymi znakomitymi ludźmi wymienić możemy dwóch naszych rodaków, profesorów krakowskiego uniwersytetu, nieżyjącego już p. Wróblewskiego i Olszewskiego. Powietrze zamrożone ma tak zupełnie wyglądać, jak śnieg, lecz tylko w szczelnie zamkniętem naczyniu utrzymać się daje. Wyswobodzone, rozpręża się i ulatnia z wielką gwałtownością, a pochłania przytem tak ogromną ilość ciepła, że powstaje w tem miejscu zimno niesłychane; trudno niezmiernie obliczyć dokładnie stopień tego zimna, bo żaden termometr nie może się w naturalnym swym stanie utrzymać w takim mrozie, zdołano jednak dojść różnemi sztucznymi sposobami, że dochodzi stu kilkudziesięciu stopni poniżej zera.

— Ach! straszna rzecz, to daleko więcej od tego, co jest pod biegunami — zauważyła, Helenka — i chyba już

niedaleko tam być musi do owego ostatecznego stopnia zimna, które jest zupełnym brakiem ciepła.

— I ja tak sądzę — potwierdził p. Adam — dotychczas jednak owo skraplanie i zamrażanie gazów powietrznych połączone jest z wielkimi trudnościami, zaledwie dla osobliwości malutkie ilości przeprowadzić można do tego stanu. W przyszłości jednak, kto wie, czy nie natrafia na jakieś sposoby łatwiejsze, prostsze, a tem samem i mniej kosztowne. Wówczas można sobie będzie kupić w sklepie butelkę powietrza mrożonego, a ta z pewnością stanie za największą bryłę lodu. Do niedużej butelki da się wpakować tyle powietrza, z gazu na ciało stałe zmienionego, ile w zwyczajnym stanie nie pomieściłoby się może w kilbu obszernych pokojach, bo gaz ten nadzwyczaj jest rozprężliwy.

— Wyobrażam sobie — rzekł Waclaw — coby to było przy odkorkowaniu takiej butelki, jakby ten gaz wyswobodzony z ciasnego zamknięcia okropnie buchnął.

— A zimno rozeszłoby się przytem tak szybko, jakby nagle wiatr podbiegunowy wionął w pokoju — dodała Helena.

— Zapewne też potrzeba będzie przytem zachowywać różne ostrożności — mówił p. Adam — jeżeli przyjdzie kiedy do rozpowszechnienia tego środka oziębiania. Ale nie traćmy nadziei, przemyślni ludzie już niejedną groźną i niebezpieczną siłę przyrody umieli opanować i nieszkodliwą, a nawet użyteczną uczynić.

M. J. Z.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Pomimo sokoła i nowoczesności stroju, cała ta postać, dumna i bohaterska, a jednak na wskroś kobieca, przypominała pielgrzymowi jakąś boginią.

Mitologii nie uczył się on w żadnych szkołach, ale podróże stanęły mu za szkołę; w Italii widywał połamane szczątki rzymskich bożyszcz, między którymi chwycił go za serce pewien cudny posąg Dyany, i choć sobie wymawiał cześć dla pogańskiego bałwana, długo nie mógł zapomnieć „olimpijskiej panny”, a teraz, kiedy zobaczył pędzącą łowczynią, tamta stanęła mu na oczach.

Nasz pielgrzym był jeszcze młody. (Bo wówczas pielgrzym nie koniecznie musiał mieć białą brodę; w owych wiekach pielgrzymowali wszyscy, od starców do dzieci). Więc jako młody, cheiwie przyglądał się obu obrazom; oczy jego biegały od ganku wieżyczki do karego konia i napowrót. Namyślał się, która piękniejsza; święta czy bogini? Namyślał się i nie mógł rozsądzić, tylko zakończył słowami:

— Gdyby mi tu kazano zawyrokować, której oddać pałmę, poprosiłbym o dwie palmy.

Tuż za piękną łowczynią, o jakie półtora kroku, jechał człowiek cały czarno ubrany, z szarą drucianą koszulką na wierzchu, z grubym pękiem broni u pasa, z twarzą zawiedłą i posepną. Za nim kilku myśliwych, odzianych brunatno, jak przystoi ludziom pośledniejszego stanowiska. Uwijało się też i dwóch paziów, zgrabnie opiętych w jaskrawe ubiorki.

Wszyscy długim wężem zaczęli po górze wspinać się ku zamkowi, a pielgrzym w gąszczu siedział niewidzialny. Ale cóż się ustrzeże paziowskiego oka? Dostrzegł go pazik z figlarnemi oczyma i czupurnym piórkiem w czapki, skreślił konia, stanął i zaczął się przyglądać z rodzajem niedowierzania, bo pielgrzym, siedząc, nogi „na krzyż” założył,

a trzeba wiedzieć, że tej postawy, nazbyt wygodnej wedle ówczesnych wyobrażeń, pozwalali sobie tylko pielgrzymi i krzyżownicy, powracający z Ziemi Świętej. Był to przywilej szanowny i wymowny.

Pielgrzym, widząc niepewność pазia, kiwnął głową i odezwał się:

— Tak, tak, idę z Jeruzolimy, prosto od Grobu Pańskiego.

Na te słowa, paź zeskoczył z konia, zaczął całować płaszcz pielgrzyma i dopytywać się:

— Jak to tam jest w Jeruzolimie?

Ale pielgrzym ani myślał dla jednego słuchacza szafować skarjami swych wspomnień; wołał owszem sam się czego dowiedzieć, aby te skarby jeszcze zwiększyć. W tym celu zapytał, jak się nazywa ten zamek? Kto go budował? Do kogo dziś należy, i co to za jedne, te piękne białogłowy?

— Miejsce, które widzicie, jest to „Żegnana Góra”, albo jeszcze prościej „Zegnaniec”. Od czego poszło to przewzisko, różnie ludzie mówią. Wedle jednych, w czasach bardzo starych, jeszcze za pogaństwa, stała tu okrutna świątynia, gdzie czarci wyprawiali swoje sztuki. Ale kiedy król Chrobry sprowadził Benedyktynów na Łysą Górę, trafiło się, że jeden z tych zakonników przechodził tędy nocą, i bardzo się zdziwił, widząc na górze gmach cały ognisty, od którego łuna biła, jakby od siedmiu księżyców, a w gmachu czarci z bognikami wyprawiali skoki i śpiewy, tak, że od huk człowieka człowieka nie słyszał; Benedyktyn, widząc, że wołaniem licha nie wypłoszy, znakiem Krzyża Świętego przeżegnał onę górę, i wnet się cały gmach z trzaskiem zapadł, a miejsce nazwano „Zażegnanem.” Inni znowu mówią, że sto lat temu książę Henryk Sandomierski, jadąc tędy na łowy, usnął na tej górze, a we śnie zobaczył świętego Piotra, który go tak ogniście przeżegnał, że mu na piersiach krwawy krzyż zostawił. Jak tylko się książę obudził, zaraz wyrozumiał, co taki sen znaczy; ze szkarłatnego sukna krzyż sobie wykroił, przypiął go na piersiach i zebrawszy towarzyszy, wyprawił się na Krucyatę, gdzie wiele czynów chwalebnych dokonał. Jeden z owych towarzyszy, powróciwszy tutaj, na pamiątkę owęj sennęj przepowiedni, zbudował sobie zamek i dał mu nazwę „Przeżegnaniec.” Dziś tu mieszka jego wnuk rodzoniusieńki, Sulisław na Żegnańcu, rycerz waleczny, pan możny i sprawiedliwy. To też Pan Bóg mu błogosławi we wszystkim; nieprzyjaciele drżą przed nim, książę Bolesław tak go ceni, że kiedyś, jadąc z Sandomierza, cały tydzień gościł tu na zamku. Dobytek wszelki zakwita, jedynek zdrowo się chowa, a w domu rządzi zacna żona, pani Elżbieta Sulisławowa, ta właśnie nadobna niewiasta, co przed chwilą wyszła na ganek. Sądziła pewnie, że już powraca jej małżonek, ale on jeszcze zabawił się w lasach, a wróciliśmy tylko my, co należymy do orszaku panny Ludmiły, dziedziczki na Srebrnym Potoku, Białej Górze, Czarnolesiu i wielu innych włościach. Sławna to bogaczka, może najbogatsza w całym Krakowskiem i Sandomierskiem księstwie. Dwa rody się na nią kończą. Sierota z ojca i z matki, chowała się u Panien Norbertanek, a teraz ją stryjcowie oddali pod opiekę pani Elżbiety. Już blisko tu rok bawimy, i od tego czasu rzadki tydzień, aby jaki rycerz albo panicz nie odwiedzał zamku, w którym jest do zdobycia taka posażna i urodziwa dziewczka. Już też i czas, aby sobie wybrała małżonka, już idzie jej na rok szesnasty, ale ona jakoś nie może się namyśleć, a prawdę mówiąc, i całemu jej dworowi niezbyt pilno do tej godziny, bo przy naszej pani nam dobrze, a jaki będzie pan, nie wiemy.

Paż byłby jeszcze długo rozповідаł, podróżny pierwszy mu przerwał. Dowiedziawszy się, że w zamku bawią same niewiasty, na których miłosierdzie każdy ubogi zwykł najwięcej liczyć, śmiejąc poprosił o gościnność. Paż widocznie się zawałał, oświadczył, że potrzebuje pierwój otrzymać pozwolenie od naczelnika załogi zamkowej, Ruperta, który w nieobecności pana musi o wszystkim wiedzieć, i co żywo puścił się ku bramie.

Pielgrzym, sam zostawszy, ukrył twarz w dłoniach i pomyślał:

— Mój Boże! Jaki to jednak niesprawiedliwy podział losów na świecie! Jednym wszystko idzie jak z kamienia, wszystko im się z rąk wymyka, ziemia prawie z pod nóg im ucieka — a drugim wszystko się wiedzie, jakby przez jakie

wyroku. Obie młode, obie piękne, kwitnące zdrowiem i swobodą, nie znają co to troska o jutro, co to nieżyczliwe spojrzenie, i jeszcze ludzie unoszą się nad ich dobrocią! Nie sztuka to być dobrym, kiedy wszystko idzie wedle woli. Czem te białogłowy zasłużyły się Bogu, że je tak bez miary obsypuje, a cóżem ja biedak zawinił, ja, który nigdy nikomu



Ślizgawka.

czary. Oto naprzykład te dwie białogłowy? Jedna sobie pysznie mieszka w swoim zamku, chlubna małżonka i matka, otoczona czcią poddanych i uśmiechami dworzan, tłumom rozkazuje i monarchów przyjmuje. Druga, zepsute dziecko szczęścia, ręką, co nie zaznała trudu, zgarnia dostatki ciężko zapracowane przez wiele pokoleń, promienna przodownica na łowach i płasach, królowa turniejów, cel miłosnych westchnień i pieśni, widzi u stóp swoich najśliczniejszych młodzieńców i najdumniejszych mężów, czekających z jej ust

wody nie zamąciłem, aby mię los od maleńkości prześladował?

Z tych gorzkich rozmyślań zbudziły pielgrzyma obce głosy. Paź wracał podskakując, za nim szedł Rupert, w którym podróżny poznał owego posepnego jeźdźca o czarnych sukniach i drucianej koszulce. Dowódca załogi, nachmurzywszy wzrok przenikliwy, zmierzył wędrowca od stóp do głowy, chcąc zapewne zmiarkować, czy to nie jakiś niebezpieczny włóczęga, kto wie, czy nie szpieg nieprzyjacielski?

Gdyby mógł był odgadnąć jego młode lata, byłby się może i tą młodością zraził; ale niesłychane trudy zamorskich pielgrzymek nadały podróżnemu jakiś wiek nieokreślony, a niczem niezatarta pańskość, przebijająca się z pod tych szat biednych i znękanych rysów, onieśmiala zbyt ciekawych badaczy. To też jeden błysk oka wystarczył biegłemu znawcy na ocenienie gościa; zaprosił go z uszanowaniem i prowadził pod górę.

Weszli na most, którego po przejeździe myśliwców jeszcze nie podniesiono, dalej na dziedzińcu zapchany mnóstwem przybudowań i przystawek drewnianych. Czemu tam nie było? Koszarowe cele dla załogi, łaźnie, kuchnie, piekarnie, pełno przeróżnych składów; z innej strony łomoczące stajnie, pełne kwiku chlewy, piskliwe zagrody dla drobiu. Na środku dziedzińca zaokrąglała się kamienna obwódka studni, z kądem śmiejące się pacholeta wyciągały wiadro z wodą dla pomęczonych koni. Przy głównym gmachu, w narożniku, zgrabna dzwonniczka strzelała nade drzwiami kaplicy, z której właśnie wychodził kapłan zamkowy.

Pielgrzym patrzył, podziwiał, i wciąż powtarzał w duszy:

— Wszystko mają, wszystko! Nawet Pana Boga mogą przyjmować w domu!

Przeszedłszy sień sklepioną, podpartą pękatem słupami, i próg wysoki, jako przystało na drzwi pańskie, stanęli u wejścia długiej a wąskiej sali, gdzie wędrowiec nie prędko potrafił się rozpatrzyć; gęsty mrok tam panował. Wprawdzie w jednym z jej końców świeciło okno wysoko strzeliste, podobne do kościelnego, w drugim końcu roztwierał się komin ogromny, tak ogromny, że zajmował prawie całą tę ścianę, a z jego huczającej gardzieli, nastroszonej całą furą drzewa, buchał płomień, jakby z kuźnicy, ale zbieg dwóch jasności, niebieskawej od okna, czerwonej od ogniska, tworzył oświetlenie fałszywe, do którego oko musiało długo przywykać. Miłym był jednak niezmiernie widok owego ognia; przy niesłychanej grubości ówczesnych ścian kamiennych, które nigdy nie mogły ogrzać się do rdzenia, przy wąkości okien, przepuszczających ledwie jedną smugę słońca, w gmachach panował chłód piwniczny. Cały też rok chodzono w futrach, które na wolnym powietrzu czasem stawały się zbyt ciepłe, ale w mieszkaniach były zawsze pożądane.

O bajecznej tej grubości murów najlepiej świadczyła sama framuga okna, istny pokoiak w pokoju; choć tylko w ścianie wykrojona, zawierała pod oknem stolik i dwa ogromne krzesła.

Siedziba ta mogła się pochłubić bardzo cennym przymiotem, była stosunkowo dosyć jasna. Wprawdzie okno, mało co szersze od porządnej strzelnicy, nie przeświecało szybami, które ledwie na królewskich dworach wtedy znano; miało tylko mocną kratę i grubą na wewnątrz okiennicę; ta była poprzekalana w rozmaite gwiazdy i serduszka, naciągnięte pół przezrystą błoną, tak, że nawet w zimie, kiedy musiano wszystko szczerlnie zamykać, przepuszczała odrobine światła. Ale teraz, przy cieplej porze, okiennica była otwarta i promień światła żółtego, pociętego czarnym cieniem kraty, padał prosto na stolik, przykryty wesołym pasiastym kilimkiem. Stół był założony mnóstwem rzeczy: leżały na nim krosna z jakąś cudną robotą, przy nich wrzeczono misternie wycinane; stał i zielony dzbanuszek z kwiatami, leżała nawet księga, oprawna w pergamin biały jakby mleko, na świeciste kłamy zamknięta. Krzesła przypominały kształt biskupich tronów, a chociaż twarde i kańciaste, nęciły do bórem przeróżnych poduszek. Naprzeciw tych siedzeń, na ścianie szarzejaczej nad stołem, roztwierał się tryptyczek jaskrawo malowany, z Męką Pańską na środku, ze świętymi figurami na bocznych skrzydełkach. Nad nim wisiał wiecznie gorejący kagańczyk, pod nim zaokrąglał się rodzaj muszli kamienną z wodą święconą i zatkniętą na ukos palmą. Według tych szczegółów łatwo było zgadnąć,

że to jest miejsce, gdzie pan domu najlepiej lubi przesiadywać, „boudoir” trzynastego wieku.

Środkiem sali biegł stół długi a wąski, na kozłach układany, w koło niego zydle dębowe, po ścianach rogi różnych leśnych bestyi, a gdzie indziej pęki ryszstunku.

Z obu stron komina wysuwały się dwie ławy o wysokich oparciach, z gruba narzynane we wzory, podobne do stalli. Między niemi, przed samym ogniskiem, siedział na niedźwiedziej skórce ów śliczny chłopczyk o błękitnej sukience, teraz bawiący się z ogromnym psem czarnym.

W środku sali, przy stole, pielgrzym spostrzegł owe dwie białogłowy, które teraz na tle czarodziejskiego oświetlenia, wydały mu się jeszcze dziwniej piękne, tem piękniejsze, że go przyjęły ze czcią, należną człowiekowi, co własnymi stopami dotknął się Golgoty.

(d. c. n.)

ŚLIZGAWKA.

Młodzież wygląda z upragnieniem chwili, gdy sadzawki zamarzną i można używać tak powszechnie ulubionej zabawy, zwinnie i zręcznie ślizgać się po lodzie. Miła ta rozrywka należy nawet do rzędu pożytecznych i korzystnych dla zdrowia, zalecana też bywa tak samo, jak gimnastyka, konna jazda, pływanie, wiosłowanie i inne podobne ruchliwe ćwiczenia, wyrabiające siłę i zręczność. Lecz najlepsze i najpożyteczniejsze rzeczy mogą się stać szkodliwe, jeżeli są nieroztropnie używane. Gdyby ktoś np. dla wprawy pływania, nie będąc pewny siebie, puszczał się koniecznie na głębinę i narażał na utonięcie, kaźdyby go nierozsądnym nazywał. Pożyteczna bardzo umiejętność pływania mogłaby wskutek własnej jego nieroztropności przynieść mu zgubę.

Toż samo dzieje się nieraz i ze ślizganiem. Wprawa ta jest dobra i zdrowa, póki użyta w miarę i z należytą ostrożnością. Ale niechże ktoś upiera się ślizgać po słabym lodzie, który może się pod nim załamać, albo puszcza się zanadto zuchwale na środek sadzawki, nie mając dostatecznej wprawy i naraża się na upadek, mogący pociągnąć za sobą złamanie ręki lub nogi, korzyść dla niego zamieni się w szkodę. Niedosć na tem, ślizgając się w porze zimowej, gdy powietrze jest mroźne, trzeba się wystrzegać bardzo zbyt ciężkiego zmęczenia i zagrzenia, po którym znów z łatwością wydarzyć się może przeziębienie.

Niejeden z warszawskich czelników naszych pamięta może młodego chłopaczka wielkich nadziei, Stasia K. syna znanego tutejszego lekarza. Zdrowy, wesół, niezmiernie zdolny, Staś był powszechnie lubiony przez kolegów; ochoczy zarówno do nauki, jak i do zabawy, ślizgał się znakomicie i przepadał za tą zabawą. Było to parę lat temu, podczas feryj karnawałowych, chłopak poszedł na ślizgawkę do Łazienek. Miał on na sobie szynel szkolny, może cokolwiek za ciężki i długi do tej zabawy, pod spodem zaś tylko lekki mundurek. Z dwójga złego jednakże lepiej już było ślizgać się w tem ciepłym ubraniu, wystrzegając się zbyt ciężkiego znużenia i rozgrzania, aniżeli na przeziębienie narażać. Staś nie zastanowił się nad tem, chcąc się przed kolegami popisać rozmaitemi sztukami, zdjął z siebie szynel, rzucił go na lód przy brzegu i zaczął się ślizgać prawdziwie po szalonym; pomimo trzaskającego mrozu, chłopiec, mający na sobie tylko lekki mundurek, spociał się cały od stóp do głowy.

Gdy wreszcie przystanął zmęczony, nagle mu się zimno zrobiło. Nie wiele myśląc, zamiast poruszać się i biegać coraz wolniej, aby stopniowo ochłonać, co jedno jeszcze uratować go mogło, on chwycił leżący na lodzie, zimny jak lód szynel, i włożywszy go na siebie, usiadł na brzegu i odpoczywał. Łatwo było przewidzieć, że taka straszna nieroztropność nie ujdzie na sucho; tegoż samego wieczora, zaraz

po powrocie do domu, Staś dostał silnych dreszczów, w nocy rozwinęła się gwałtowna gorączka, piorunujące prawdziwie zapalenie płuc po trzech dniach zabiło nieszczęśliwego chłopca. Tak młodzieniec wielkich nadziei, dobry, zdolny, pełen sił i zdrowia, jedną chwilę nieroztropności życiem przypłacił, osierocając kochających rodziców.

Z bólem serca opowiedzieliśmy wam te smutne dzieje, kochani czytelnicy, radziłyśmy zawsze tylko wesołe myśli w was budzić, odwracać smutne wrażenia. Czasem jednak dla przestrogi należy poruszyć i smutniejsze strony życia. Może to wspomnienie prawdziwego zdarzenia niejednego młodzieńca, niejedną panienkę, zbyt zuchwale używających przyjemności ślizgawki, powstrzyma od chwilowej nieroztropności, która ciężką karę pociągnąć za sobą może. Używajcie ślizgawki, lecz zawsze w miarę, ostrożnie, roztropnie i uważnie.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Dobrze — rzekł tylko — teraz możesz sobie, mój chłopcze, robić co ci się podoba.

I mówiąc to, zarzucił ogromną swą rusznicę na plecy, potem odszedł do domu, pozostawiając Janka samego. Nie wątpił, że zechce skorzystać z pozwolenia i użyć swobody.

Jak już wspominaliśmy wyżej, najbliższem sąsiedztwem Gedneyów była osada Burtonów, o milę na wschód oddalona. P. Burton miał rodzinę liczniejszą, złożoną z dwóch synów i małej córeczki. Jurek był o rok starszy od Janka, Wiluś o rok młodszy, a siostrzyczka ich Ruta siódmy rok kończyła.

Obie rodziny żyły z sobą w bliskich stosunkach przyjaźni, odwiedzały się często wzajemnie w chwilach swobodnych, zażyłość rodziców przeszła na dzieci. Rzadki był dzień, ażeby Janek nie zajązdał do mieszkania Burtonów, albo dwaj młodzi jego towarzysze nie przybiegli choć na chwilę do niego. Jurek i Wiluś mieli już własne strzelby i obchodzili się z niemi umiejętnie, żaden z nich jednak nie dorównywał Jankowi w zręczności i odwadze, nieraz on wyszedł zwycięzko z prób rozmaitych, lecz szlachetne to współzawodnictwo w niczem nie osłabiało przyjaźni poczciwych chłopaków.

Jurek i Wiluś oddawna wiedzieli o miłej niespodziance, którą ojciec Janka przygotował dlań na urodziny, nie wydali jednak tajemnicy, nie chcąc zmniejszać radości jego. To też domyślacie się zapewne, że pierwszą myślą szczęśliwego chłopca, gdy ojciec pozwolił mu czasem swym rozporządzać wedle upodobania, była wycieczka do osady Burtonów, ażeby się pięknym podarunkiem pochwalić przed kolegami.

Był to piękny, pogodny dzień jesienny, na początku Października, gdy Janek Gedney puścił się dobrze znaną ścieżeczką leśną, do osady Burtonów prowadzącą. Liście na drzewach poczynały się już mienić żółtami i purpurowemi barwami, część najjaskrawszych opadała na ziemię. W Ameryce północnej ta gra barw jesiennych dochodzi do nieznanego w innych częściach świata przepychu. Janek myślał o tem, że to właśnie najznakomitsza pora do polowania, jelenie, żubry i wszelka zwierzyna zazwyczaj na jesieni bywa najlepiej wypasiona. I uśmiechał się chłopak, spoglądając na ukochaną swoją strzelbinę, bo nie wątpił, że z jej pomocą obfitość najwspanialszej zdobyczy jemu się dostanie.

A teraz chcielibyśmy czytelnikom opisać dokładniej

powierzchnowość młodziutkiego bohatera naszego, Janka Gedneya. Każdy, kto by go był widział, kroczącego śmiało po ścieżce, leśnej przyznałby niezawodnie, że wygląda na dzielnego chłopca. Był na swój wiek wysokiego wzrostu, przytem silnie i kształtnie bardzo zbudowany. Ładna twarzyczka jego jaśniała zdrowiem, ciemne oczy sypały iskrami a policzki rumiane przypominały piękne, czerwone jabłuszka. Bo też rodzaj życia, jaki młody osadnik prowadził w domu ojca, łączył w sobie wszystkie warunki, najbardziej sprzyjające rozwinięciu sił i zdrowia.

Gdyby Janek ukazał się na ulicach jakiego wielkiego miasta, zadziwiłby zapewne przechodniów niezwykłym swym strojem. Było to dzieło rąk jego matki. Czapeczka, zesztywniała z jednej sztuki grubego, ciemnego sukna, była niezmiernie wygodna, ciepła i trwała. Krój jej niewyszukany miał jeszcze i tę dogodność, że nie miał ani przodu, ani tyłu, można więc było tę czapeczkę jakkolwiek wsadzić na głowę, zawsze była na swoim miejscu.

Ubranie, sporządzone z tegoż samego materiału, przy pominaniu strój używany dziś powszechnie przez welocypedyistów; składało się ze spodni krótkich, sięgających tylko do kolan i bluzy także krótkiej, zapinanej na guziki od góry do dołu, obcisniętej skórzanym pasem. Grube, ciemne pończochy wełniane, zachodzące powyżej kolan, dopełniały tegoż ubioru. Podczas mrozów zimowych na te pończochy kładł się długie kamasze czyli getry skórzane. W bluzie i spodniach mieściły się kieszonki rozmaitej wielkości, a żadna nie była próżna.

Żaden z młodych czytelników naszych nie zadziwi się zapewne, gdy powiemy, że Janek Gedney owego pamiętnego, jesiennego rana postępował krokiem pewniejszym niż zwykle, a głowę dumnie podnosił do góry. Czuł on, iż ta przeszliczna strzelba na ramieniu dodawała mu niemało okazałości i powagi. Kiedyniekiedy przystawał, zdejmował ją z ramienia i oglądał na wszystkie strony z upodobaniem.

— Przepyszna! — mówił sam do siebie — a jak wybornie niesie! Ojciec myślał, że ja tej pierwszej wiewiórki nie trafię w głowę; coprawda niełatwa to była sprawa, sam byłem trochę niespokojny i ten pręt bardzo mi się nie podobał... ale na szczęście kochana moja strzelbeczka dopisała, a gdy mierzyłem do drugiej wiewiórki, już ojciec nie pomyślał nawet o przecię. Ho ho! terazbym się nie uląkł, żeby tu nawet i niedźwiedź stanął przedemną! a jelenia radbym bardzo spotkać.

Darmo jednak oglądał się bacznie na wszystkie strony, żadna zwierzyna warta strzału nigdzie się nie ukazała, więc chłopak, nie tracąc czasu, śpiesznie pomknął dalej. Na polowie drogi pomiędzy osadami Gedneyów i Burtonów ścieżkę nagle przecinał w poprzek niezbyt szeroki i głęboki rozdzół, na dnie jego płynął mały strumyczek. Niekiedy podczas większej powodzi rzeczulka ta przybierała, dół wypełniał się szumiącą wodą, która unosiła mostek, prowadzący na drugą stronę. Teraz wszakże od lat już kilku nie pamiętano, aby woda wyżej się podniosła, a mostek stał sobie najspokojniej.

A nie był to wcale most jakiś wyszukany, lecz poprostu olbrzymi pień drzewa, wraz z konarami przerzucony z jednego brzegu na drugi ponad jarem. Dla ludzi nieprzyzwyczajonych do podobnych dróg leśnych przejście to byłoby zapewne bardzo niewygodne, lecz tam nikomu nawet na myśl nie przyszło, ażeby to miało być niewystarczające. Nie brakło przecież w osadach pobliskich zdolnych cieśli i robotników, ale mieszkańcy tego zakątka ziemi uważaliby byli urządzenie lepszego mostu za zbytek całkiem niepotrzebny.

III.

Spotkanie na mostku.

Janek żwawo i zręcznie wszedł na ten most niezwykły i wnet dostał się na drugi brzeg, tu przystanął i znowu te

nie oglądać się zaczął na wszystkie strony, wypatrując kiej zwierzyny.

— A toż jakby na złość — mruknął niechętnie — ta-
żabyń miał ochotę strzelić, nie spudłowałbym z pewnością,
a tu nic i nic. Niechże się co chce dzieje, nie po to przecież
noś na ramieniu strzelbę nabitą, abym jej nie użył; jeżeli
nie do zwierz, to strzelę do mety.

O sto kroków przed sobą chłopak spostrzegł wysokie,
proste drzewo, odosobnione nieco wśród gęstwiny leśnej. Na
pniu widniała zdaleka niezbyt duża plamka jaśniejsza, jakby
kora w tem miejscu była starta. Była to wyborna meta,
Janek wymierzył i strzelił.

— Obaczmyż teraz czy trafiłem — rzekł z uśmiechem
zadowolonia i dumy, bo nie wątpił prawie o swęj zręczności.
W rzeczy samęj, przybliżywszy się do drzewa, obaczył kulkę
tkwiącą po samym środku owęj jasnej plamki.

— A co! — szepnął z cicha, znowu się uśmiechnął sam
do siebie i włożywszy strzelbę na ramię, żwawo powędrował
dalej. Droga tu była coraz wygodniejsza i równiejsza, nie-
zadługo więc nasz Janek stanął na miejscu, w mieszkaniu
rodziny Burtonów.

Była to piękna posiadłość i starannie utrzymana; w tęg
chwili właśnie osadnik z pomocą dwóch synów zajęty był
zbiorem zboża na polu, zasianem po wykarczowaniu drzew.
Żona jego wraz z córką Rutą miała znów robotę w domu,
nikt tu bezczynnie czasu nie trawił. Na widok Janka, pan
Burton i obaj chłopcy przerwali pracę swoją na chwilę i po-
witani gościa bardzo uprzejmie. Odrazu też spostrzegli
przepyszną jego strzelbę, a domyślając się, z kąd pochodziła,
szczerze mu winszowali, i urodzin, i tak pięknego upominku.

— Radbym bardzo — rzekł p. Burton — ażebyście
jutro, ty i moi chłopcy wybrali się na polowanie. Teraz,
gdy wszyscy trzej już posiadacie broń porządną, powinni-
ście się przyzwyczajać do takich wycieczek.

— A ja sądziłem, że Wiluś i Jurek dziś jeszcze wybio-
rą się ze mną na polowanie — mówił Janek, spoglądając
z kolei na obu przyjaciół, i czytając z ich oczu, że wcale nie
byliby od tego.

— Nie — odparł stanowczo ojciec — dziś musimy ko-
niecznie przed nocą załatwić się z ważną i pilną robotą, chłop-
cy odejść nie mogą.

Synowie osadnika wiedzieli dobrze, iż ojciec nie zmieni
na żadne prośby i błagania raz powziętego postanowienia,
nie wymówili więc ani słowa i zabrali się na nowo do roboty,
przerwanęj na chwilę. Janek był także zanadto rozsądny
i dobrze wychowany, aby się upierać przy swoim, więc
w milczeniu postawił strzelbę pod drzewem, a sam, za-
kasawszy rękawy, zaczął pomagać w pracy przyjaciółom; nie
chciał przecież stać z założonemi rękami, podczas gdy wszy-
scy byli zajęci.

O zachodzie słońca robota była skończona; zapraszano
Janka na wieczerzę, lecz on stanowczo odmówił, bo przy-
rzekł matce powrócić wcześniej do domu. Umówił się z mło-
dymi przyjaciółmi, że nazajutrz o świcie przybędzie do nich
i razem wyruszą na polowanie, zarzucił strzelbę na plecy
i puścił się żwawo tą samą drogą, którą już parę godzin
temu przebywał.

— Szkoda, wielka szkoda — mówił sobie w duszy —
że nie napotkałem dziś żadnej zwierzyny i nie mogłem na-
wet tęg pysznęj strzelby przenowić.

Ani się spodziewał nasz śmiałek, że dziś jeszcze będzie
miał sposobność użyć swęj nowęj broni i to wcale nie na
żarty, lecz broniąc się od śmiertelnego niebezpieczeństwa.
Była to pora dość krótkich dni jesiennych i Janek wiedział,
że noc zapadnie zupełnie, nim on do domu się dostanie. Ani
myślał jednak się tem niepokoić. Znał drogę doskonale,
nieraz późno w noc przechodził przez ów mostek, zawieszony
ponad głębiną, byłby trafił do domu z zawiązanemi oczami.

(d. c. n.)

HOMONIMY (Pegaz Skrzydlaty).

Okragły, szczerozłoty, pewnie o tem wiecie,
Że był pierwszą monetą w starym greckim świecie.
I jak z dziejów wiadomo, do ośmiu tysięcy
Naszych złotych wynosił, a może i więcej.
Tej monety heleńskiej niezmienione głoski
Tworzą także prócz tego i cenny dar Boski,
Którym człowiek się wślawić może i w nauce,
I w pisarskim zawodzie i w nadobnej sztuce.
Dziś ten pieniądz już rzadki, a za to dar Boży,
Niby grzyby po deszczu mnoży się i mnoży.
Nikt jednak tęg mnogości na wartość nie zmieni,
Choć ta zwykle po śmierci dopiero się ceni.

Łamigłówka przeciwieństwa (O.)

Westchnienie—Smutek—Cisza—Szatan—Dzień—Cie-
mnota—Niewola—Nieszczęście—Nagroda—Odwrót—Wy-
naleźć dziesięć wyrazów, stanowiących przeciwieństwo z te-
mi, głoski ich początkowe powinny utworzyć nazwisko
autorki powieści dla młodzieży i innych utworów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52-go.

Szarady:

Ka — la — san — ty.

Łamigłówki zgłoskowej:

AryadnA—LiverdooL—AlbanY—RoberT—YachT—
KaznodziejA.

Alaryk — Attyla.

TREŚĆ: Pracownia pana Adama, pogadanka naukowa (z drzew.), p. J. M. Z. — Za przykładem Chrystusa wiersz p. Natalią Sokołowską.
— Najnowsza powieść Deotymy, (c. d.). — Ślizgawka, (z drzew.). — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amery-
kańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Ptak nosorożec (z drzew.). — Śpiewnik dla dzieci.
wiersz.— Mały piaskarz, p. Bronisławę Kuczyńską, (c. d.). — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:**
Dzieci klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.

PTAK NOSOROŻEC.

Osobliwsze te ptaki żyją w gorących okolicach Azji i w Afryce południowej. Dziób ich olbrzymi ma dziwną, sterczącą narośl, która zupełnie wygląda jak róg, przeważnie z tą ptaka nosorożcem. Pióra jego są zwykle ciemne, niektóre gatunki odznaczają się jaskrawiej zabarwioną szyją i białymi smugami na skrzydłach i ogonie.

troskliwa i czuła dla dziatwy, i ta z pewnością spełniałaby swoje obowiązki, chociażby nie była zamurowana w więzieniu. Jegomość samiec dużo sobie jednak tym sposobem przysparza trudu, bo musi troskliwie karmić samice, siedzącą na jajach, inaczey nieboga zginęłaby z głodu. Taki los nieszczęśliwy spotyka ją niekiedy, jeśli się zdarzy, że samca kto zabije lub go pożre zwierz drapieżny, podczas gdy ona jaja wysiaduje.

Jeżeli wszystko szczęśliwie się odbędzie, pisklęta się wyklują i opierzą, samiec rozbija mur dziobem i ma-



Ptak nosorożec.

Ptaki te dziwny mają zwyczaj przy urządzeniu gniazda. Samica, podobnie jak dudki i wiele innych ptaków, sadowi się w dziupli drzewnej, wyściela otwór miękkim mchem i znosi tam jaja. Tymczasem samiec zamurowuje ją w tem gnieździe, i to wcale nie na żarty; gliną rozmoczoną zalepia otwór dziupli, zostawiając tylko nie dużą dziurkę, przez którą samica może dziób wychylić ze swego więzienia. Niewiadomo, czy małżonek jej robi to dla zabezpieczenia gniazda od napaści drapieżnych zwierząt, czy też chce matkę zmusić tym sposobem, aby ani na jedną chwilę jaj i piskląt nie opuszczała.

To byłoby bardzo nieładnie z jego strony, każda mateczka, zwłaszcza ptasiego rodu, zawsze jest bardzo

tę z dziećmi wypuszcza na swobodę. Zwykle podobno sam wówczas nieborak wychudzony jest, jak skielet, bo pod koniec już nietylko matkę żywić musi, lecz także i kilkoro piskląt. Jako dobry ojciec, oddaje im wszystko, co tylko znaleźć może, niewiele pozostawiając dla siebie. Ptak nosorożec bywa także nazywany Kalao. Podróżnicy nieraz próbowali chwycić młode ptaszki podobne, hodowali je w klatce i upewniają, że łatwo dawały się oswajać. Ponieważ są prawie wszystkożerne, bo jadają i owoce, i ziarno, i owady, i mięso, więc łatwo je wyżywić.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI.

I.

Ziemowit syn Piasta.

Przed wiekami, przed dawnemi,
Na gnieźnieńskiej stariej ziemi,
Ponad Gopłem, pośród skał,
Książę w zamku synka miał.

Przykre było to książątko,
Rozpieszczone, jak kurczątko,
Nieposłuszne, pełne wad,
Choć już miało siedem lat.

A pod zamkiem tuż,
W chatce pośród zbóż,
U stóp wielko pańskich gniazd,
Miał też synka rolnik Piast.

Ten ubogi Piast poczciwy
W trudzie orał swoje niwy,
Syn pomagał mu co sił
I surowo chowan był:

Dobry z niego był chłopczyzna,
Więc kochała go rodzina,
On był wszystkim służyć rad,
Choć miał tylko siedem lat.

Rośli tak dwaj siedmio-latki,
Każdy syn u swego tatki,
Aż z nich każdy ucztę dał,
Bo się obrzęd odbyć miał.

Obrzęd zwany „postrzyżyny”,
Krótkie włoski odtąd syny
Strzygli w ziemi blizkiej mórz,
I nie byli dziećmi już.

Wnet za gościem gość,
Dąży ludzi dość,
Pan do zamku pysznych wrót,
Kmieć do chaty słynnej z cnót.

Krzążają się ojce, matki,
A u progu biednej chatki,
I u zamku wielkich bram,
Stoi chłopczyk tu i tam:

Stoi, wita swoich gości;
W szarych sukniach ludzie prości,
W barwnych szatach jedzie pan,
Aż od strojów błyszczy łan.

A wtem idą w zamku progi,
Przyodziani w strój ubogi,
Dwaj podróżni z dala snąć,
Jakaś obca, biedna brać.

Więc książątko krzyknie dumnie:
— Precz! Nie dla was ucztę u mnie,
Precz, żebracy, od tych bram,
Bo tu Popiel mieszka sam!

Wtem od kmiecych chat,
Gdzie tłum szarych szat,
Zabrzmi głosik: — Proszę tu!
Dwóch się zmieści, gdzie jest stu.

Hej, podróżni! proszę do mnie,
My uczuję tutaj skromnie,
A na spanie mamy stóg,
Proszę, wejdźcie w ojców próg!

Poszli obcy do chatyny,
Odprawili postrzyżyny,
Jak gościny każe cześć,
Potem wszyscy siedli jeść.

Opuszczając zaś gościnę,
Dwaj wędrowcy na dziecinę
Kładąc ręce, rzekli tak,
Czyniąc nad nim krzyża znak:

— W imię Pańskie, Ziemowicie!..
Oto chrzcimy cię na życie,
Barwne, jak stubarwna nić,
Dziewięć wieków tobie żyć!

Żyj na chwałę, żyj,
Jasne niebo śnij,
Póki prawdę będziesz czcił,
W cudnej chwale będziesz żyć;

Potem przyjdą srogie próby,
Nad przepaścią będziesz zguby,
Lecz znów staniesz u czci wrót,
Tylko wróć, ach, wróć do cnót!..

Rzekłszy tak, odeszli z chaty;
Zginął Popiel ów bogaty,
Lud na księcia Piasta wzniośł
I Ziemowit księciem wzrośł.

Dziewięć wieków jego plemię
Dziedziczyło ojców ziemię,
Tak to zwykł nagradzać Bóg
Tych, co Jego strzegą dróg.

* * *

Wedle starożytnej kroniki Marcina Galla, dumny książę Popiel i ubogi kmiołek Piast wyprawiali jednocześnie uroczystość pogańską „postrzyżyn” siedmioletnim synkom swoim; przyczem odpędzeni od wrót książęcego zamku dwaj ubodzy wędrowcy ugoszczeni zostali w kmiecej chacie Piasta, i odchodząc w nagrodę świętej gościnności pobłogostawili mu synka dobrego, przepowiadając jednocześnie wszystkie jego i jego potomków losy przez ciąg dziewięciuset lat; co wszystko sprawdziło się święcie, gdy Popiel zginął, a potomkowie Piasta i Ziemowita panowali jako książęta a potem królowie nad Polakami. Podanie niesie, że ci wędrowcy byli to apostołowie Słowiańszczyzny, święci Cyryl i Metody.

MAŁY PIASKARZ,

opowiedziała BRONISŁAWA KUCZYŃSKA.

(Dalszy ciąg).

Biedny chłopczyzna, przerażony tem co się stało,
cofał się ku drzwiom, jękając nieśmiało:
— Ja dla panienki piasek przyniosłem..
— Patrzcie go! oszust jakiś, a kto cię o piasek prosił?

— A czy to nie panienka kiwała na mnie przed chwilą?

— Anim myślała, u nas już dawno okna opatrzone, a w kuchni mi teraz nie potrzeba.

— Przepraszam, a ja myślałem... zdawało mi się, że to tutaj... to widocznie z przeciwnej strony. Niech panicz się nie gniewa — rzekł wreszcie, zwracając się do zachmurzonego ciągle jeszcze chłopca — ja nic złego nie chciałem zrobić, tylko widząc, iż w kuchni nie ma nikogo, myślałem, że tutaj kogo znajdę i dlatego zajrzałem. Gdy zobaczyłem kajet i pisane na nim litery, nie mogłem wytrzymać, zbliżyłem się do stołu i napisałem trochę.

— Jakto! ty śmiałeś pisać na moim kajecie? to dopiero zuchwalec! — wykrzyknął z gniewem ów chłopiec, któremu było na imię Władysław, a zobaczywszy, że jego litery były o wiele gorsze, jeszcze większym uniósł się gniewem i zaczął wołać:

— Magdaleno, wypędź prędzej tego obdartusa! a obejrzyj wszystko dobrze w kuchni, bo może co ukradł.

Józiovi bardzo się smutno zrobiło, gdy usłyszał te słowa, lecz nic już nie mówiąc, odszedł do kuchni, zabrał swój koszyk z piaskiem i rzekł:

— Niech panienka będzie spokojna, pewnie nic nie zginęło, nie po to ja tu przyszedłem; o! zmartwiłaby się moja biedna matusia, gdyby słyszała, o co mnie posądżają.

Magdalena była uczciwą i dobrą kobietą, poznała więc, że Józio mówi prawdę, żal się jej zrobiło biedaka, a chcąc mu czemś okazać swoje współczucie, wyjęła swą bułkę od śniadania, wetknęła mu w rękę, mówiąc:

— No, wierzę ci, wierzę, mój chłopcze, weź sobie tę bułkę, a na przyszły tydzień przynieś mi piasku. Na panicza się nie gniewaj, bo to dobre, lecz bardzo rozpieszczone jest dziecko.

Józio podziękował za bułkę i dobre słowo i wyszedł do sieni, a Magdalena słyszała jeszcze, jak służąca z przeciwka robiła mu wymówki, że tak długo czekać na niego musiała, on zaś tłumaczył się, że przez omyłkę wszedł do innego mieszkania.

Przez kilka dni następnych w oknach mieszkania państwa D., rodziców Władysława, pojawiała się często jego główka, szczególnie gdy kto zawołał: „Piasku białego, wiślanego!” Magdalena także zbliżała się zawsze na ten odgłos, musiała w tem być jakaś przyczyna. O, tak, i ważna nawet; ażeby ją poznać, trzeba się dowiedzieć, co się stało w godzin parę po wyjściu Józia.

Podczas całego przebiegu opowiedzianej poprzednio sprawy państwa D. nie było w domu, a Władysław przygotowywał się do lekcji, odbywanej codziennie z nauczycielką o godzinie dwunastej. Miał on ochotę wyrwać kartkę, na której Józio napisał tych kilkanaście liter, lecz później przypomniawszy sobie, iż nauczycielka tego nie lubi, zostawił, licząc na to, iż nie będą spostrzeżone. Przerachował się jednak w swoim przypuszczeniu, bo zaledwie panna Jadwiga rzuciła okiem na kajet, zaraz zapytała:

— A to kto ci napisał? bo rozpoznaję dobrze, że nie twoja to kreśliła ręka.

Władysław zawstydzony był, że nie przyznał się od

razu, lecz chciał, by za jego robotę uchodziło to, co przez kogo innego było wykonane, odpowiedział trochę jeszcze z gniewem, a trochę ze wstydem całą historią. Po wysłuchaniu jej, p. Jadwiga, patrząc poważnie na niego, zapytała:

— Czy jesteś zadowolony z tego, co zrobiłeś? Czy ci nie jest przykro, że tak nielitościwie obszedłeś się z biedakiem, który, jak widzę ze wszystkiego, jest widoocznie poczciwym chłopcem i uczyć się pragnie. Patrz, jak on to porządnie napisał, równiutko jedną literę obok drugiej; czyż nie lepiej było, zamiast krzyżać i wypędząć go, poprosić rodziców o pozwolenie i podarować mu kajet i piór kilka, aby sobie w niedzielę mógł pisać?

Na te słowa weszła pani D., która przed chwilą właśnie powróciła i od Magdaleny, także bardzo przejętej tą sprawą, dowiedziała się, co się stało. Chciała także powiedzieć parę słów surowych Władziowi za to, że się tak źle obszedł z małym piaskarzem, ale on widząc ją, podbiegł ku wchodzącej i zawołał:

— Mamusiu, widzę, że już wiesz o wszystkim, i że się na mnie gniewasz; ale ja bardzo żałuję tego, co zrobiłem, i chciałbym to naprawić. Mnie już zaraz po jego odejściu było przykro, a jeszcze jak się dowiedziałem od Magdaleny, że go rzeczywiście wołała służąca z przeciwka, to już prawie pewien byłem, iż on nic nie winien i że ma ochotę do nauki. Patrz, mamuniu, o ile lepiej napisał odemnie.

— Trzeba koniecznie coś zrobić dla tego chłopca — rzekła pani D. do p. Jadwigi — bo widocznie poczciwy być musi. Staraj się, Władziu, upatrzeć go, gdy będzie na podwórzu i zawołać; bo choć Magdalena mówiła mu, aby piasku przyniósł, ale kto wie, czy zechce on przyjść do miejsca, gdzie go taka spotkała przykreść.

Dlatego to Władysław tak często wyglądał oknem i bacznie przypatrywał się wszystkim chłopcom, noszącym piasek. Cztery dni upłynęło na bezskutecznym upatrywaniu, dopiero piątego, gdy właśnie mróz był tak duży, że okna zamarzyły zupełnie, a Władysław, aby widzieć środek podwórza, wychuchał sobie okrągłe okienko, dało się słyszeć wołanie i drobna postać Józia wnet się ukazała.

(d. n.)

SZARADA.

(Mazurka z na Narwi).

Pierwsze, jeżeli nie wiecie,
To na mapie obaczycie,
Że to rzeka,
Dość daleka.
Gdy już dość się nabawicie,
To te słowa usłyszycie:
Do książki już *pierwsze trzecie!*
Teraz pewnie odgadnicie.
Drugie i trzecie pokrywa drzewa,
Na których latem słowiczek śpiewa.
Wszystko odgadnąć, gdy macie ochotę,
To weźcie herb albo cnotę.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 52-go.

Łamigłówni rozsypanej:

Stanisław Żółkiewski.

Skrzynka do listów.

Dumka może być pewna, że wszystkie korespondentki, dalekie i bliskie, zarówno są w redakcji naszej kochane.

Biała Różyczka z Wołynia wyraża się tak ceremonialnie w swoim liściku, jakby po raz pierwszy pisała i nie wiedziała, że oddawna znaną jest i kochaną.

Mrówka z nad Warty ślicznie robi, stosując się do swego ładnego pseudonimu. Robótka bardzo uradowała biedne dziecko, któremu się dostała, a starannie napisany liścik dużo nam sprawił przyjemności. Niechże kochana Mróweczka o nas nie zapomina.

Rajskie Jabłuszko, przybyłe zdaleka ślicznym wózeckiem zaprzężonym w renifery, witamy z wielką radością. Kochane to Jabłuszko, co wołało zaoszczędzone pieniądze użyć na prenumeratę naszego Pisemka, niżeli na przysmaczki lub zabawki. Postaramy się, aby tego nie pożałowało.

Gałązce Heliotropu możemy donieść, że i na ten rok mamy już w pogotowiu niemniej zajmujące powieści tych samych autorek; doświadczenia fizyczne będą także w dalszym ciągu podawane, radzi jesteście, że się udają.

Gajówka z nad Obry pamięta o nas pomimo podeszłego wieku; serdecznie dziękujemy.

Kalinka ucieszyła nas bardzo swoją częstszą korespondencją. Opis wakacyj dla braku miejsca dotychczas nie był drukowany, ale nie pójdzie do kośćca.

Wróblek z nad słusznie usłuchał rady ojca i my też chętnie się do życia zastosujemy. Datki najdrobniejsze przydadzą się biednym dzieciom, a my wdzięczni jesteśmy ofiarodawcom.

Pegaz Skrzydlaty dobrze napisał „Jajko Kolumba, zapomniał tylko wyjaśnić przyczynę naukową zjawiska, o którym przytem wspomina, a bez tego opowiadanie jest jakby niedokończone. Homonimy wydrukujemy.

Alchemikowi dziękujemy za przestrożę; wielka to niesumienność przysyłać łamigłówni z innych Pism przepisane, bo my sprawdzić tego nie możemy.

Halka z Litwy uradowała autorkę „Branki litewskiej” wiadomością, że ją ta powieść tak zachwyciła. Taż sama p. M. Zielińska i na ten rok przygotowuje dla kochanych naszych czytelników powieść z dawnych czasów.

Dzierlatka z nad Zharu otrzymała już zapewne żądane N-ra. Pisma. Miłej téj Dzierlatce, która i własnoręczną robotą i datkiem hojnym obdarzyła ubogie dzieci, serdeczne w ich imieniu przesyłamy dzięki.

Niezapominajka z nad Warty ślicznym liścikiem sprawiła nam wielką przyjemność.

Promyczek rzadko się odzywa, lecz za to jak się odezwie, to bardzo miłutkie rzeczy pisze w swych liścikach. Mamie i nauczycielce za wyrazy tak uprzejme zaszyłam serdeczne Bóg zapłać.

Biała Ostróżka stosuje się do warunków redakcji, pisze liścik do innej korespondentki na osobnej kartce, chętnie go umieścimy.

Biała Konwalia z nad Narwi może pozostać przy tym pseudonimie. Liścik bardzo porządnie napisany; radziłyśmy często podobne odbierać.

Światelko tak miłutko pisze, że musimy życzenie jego spełnić, o troszkę tylko cierpliwości prosząc. Mggle, Małej Laszce, Muszce brzęczącej, pozdrowienie serdeczne przesyłamy, równie jak wszystkim kochanym czytelniczkom w Hrubieszowie.

Moja droga Kureczko z nad Ikwy! Pisałam już raz do ciebie przez „Wieczory”, ale dotąd tego listu nie wydrukowali, chociaż ja go wysłałam bardzo już dawno. Myślę więc, że musiał zaginać na pocztę. Czy odebrałaś już mój list, pisany przez pocztę? Całuję cię serdecznie. Bławatka z nad Horynia.

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Ogromną czuję sympatyą do ciebie, od czasu trzymania „Wieczorów”, gdyż ztąd tylko poznałam Jaskółkę przez miłe jej liściki. Zdaje mi się, iż masz imię Julia i lat 17, nieprawdaż? Mam nadzieję, że odpiszesz nieznanę, choć szczerze cię kochającą, Filaretce.

Kochana Brzózko z Gaiku! Często przypominam sobie przyjemne chwile, spędzone u was i u Tereni. Czy odegrałyście na urodziny Stefcii komedyjkę? jak się udała? Co porabia Kukułeczka? zapewne w daleki świat wyfrunęła, że ani się odezwała i dopiero w Maju swoje kuku w brzozywym gaiku głosić będzie; nieprawdaż? Całuję was wszystkich serdecznie, wasza przyjazna Halka z Litwy. Jedlince zaszyłam serdeczne pozdrowienie, bo jej pseudonym bardzo mi się podobał. Jedlinki moje najmiłsze drzewa. Halka z Litwy.

Kochana Poziomko kujawska, Lewkonio i Góralko! Poziomeczko, mienniczko i rówieśniczko moja, co najlepiej lubisz grywać? bo ja szumki Zawadzkiego. Lewkonio, czyś czytała „Dwie Siostry”? Ja czytałam i zachwycona jestem. Góralko, jak twe imię? Czy masz rodzeństwo? Niezapominajko poleska, czy ci się podobała Warszawa? bo mnie bardzo. Kochajcie Różyczkę Białą z Wołynia.

Kochana Jedlinko! Chociaż nazywam się Dumką, wolę jednak gawędzić w miłym towarzystwie, niż dumać samotnie. Obralam zaś sobie ten pseudonym dla tego, że lubię bardzo grywać piękne „dumki” naszego ludu. W „Wieczorach” kochanych wszystko lubię, ale najwięcej zachwyciło mię w „Imię koleżeństwa”. Brzózko srebrną pozdrawiam serdecznie. Całuję was obie serdecznie Dumka.

Droga Czaplo z nad Pohanki! Twój liścik wielką mi sprawił przyjemność i serdecznie dziękuję ci za niego. Donieś mi czy Kasia już pisała do Wieczorów i pod jakim pseudonimem. Posyłam ci tysięczne uściśnienia. Biała Ostróżka.

Kochana Blondynko z nad Suchowólki! Chciałabym się bardzo z tobą poznać choć przez „Wieczory.” Napisz mi, gdzie mieszkasz? Ja mieszkam w małym mieście, nazywam się Janina, mam lat 11 i młodszego brata. Twoja Dzierlatka z nad Zharu.

Tajemniczy Heliotropie! Po długim namyśle nie mogę odgadnąć, kto mię krzyżem z podstawą i łamigłównią obdarzył? Przypuszczam, iż imię twe jest Włodzimierz, a nazwisko zaczyna się od litery W. Czy to trafne przypuszczenie? Posyłam ci na znak wdzięczności łamigłównię, Datura.

Datura przesyła kochanej Sobótce życzenia wesółych Świąt i prosi ją o list.

OGŁOSZENIE.

Zasłużona księgarnia p. p. Gebethnera i Wolffa rozpoczęła wydawnictwo niepospolitej doniosłości, ze wszelkich miar zasługujące na rozpowszechnienie. Jest to biblioteczka dla samouków pod tyt. „Jak się uczyć i jak uczyć innych.” przeznaczona dla osób, które pragną się uczyć bez pomocy nauczyciela. Ma zawierać cały szereg podręczników we wszystkich gałęziach wiedzy, opracowanych przystępnie i zrozumiale przez doświadczonych pedagogów. Pierwsze zeszyty już się ukazały, zawierają wstęp, objaśniający znaczenie samouctwa. Potem nastąpić mają: gramatyka polska, stylistyka, literatura, historia powszechna, literatura powszechna, przyrodznawstwo, historia sztuki, matematyka i t. d. Zeszyty wychodzą w odstępach tygodniowych, każdy kosztuje 10 kop. na miejscu. 12 z przesyłką. Nizka ta cena powinna zachęcić każdego do nabycia pożytecznego dzieła.